

LYNN PAINTER



CO za BAŁA GAN

*W tym, jak pisze Lynn Painter,
nie da się nie zakochać.*

– Ali Hazelwood,
autorka *Deep End*



Przełożyła Karolina Bochenek

LYNN PAINTER

CO
za
BALA
GAN

Przełożyła Karolina Bochenek

Bliss

TYTUŁ ORYGINAŁU:

Maid for Each Other

Redaktorka prowadząca: Ewelina Czajkowska

Wydawczyni: Ewelina Czajkowska

Redakcja: Magdalena Wołoszyn-Cępa

Korekta: Małgorzata Denys

Projekt okładki i ilustracja: Nathan Burton

Opracowanie graficzne okładki: Adelina Sandecka

Wyklejka: © Olga / Stock.Adobe.com

DTP: pagegraph.pl

Copyright © 2025 by Lynn Painter

This edition published by arrangement with Berkley, an imprint of Penguin Publishing Group, a division of Penguin Random House LLC.

Copyright © 2026 for the Polish edition by Bliss an imprint of Wydawnictwo Kobiece Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Karolina Bochenek, 2026

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2026

ISBN 978-83-8417-722-8

Grupa Wydawnictwo Kobiece | www.WydawnictwoKobiece.pl



Bliss

Rozdział 1

POBUDKA W ŁÓŻKU MILIONERA

Abi

Czy to źle o mnie świadczyło, że w głębi duszy cieszyłam się z plagi robali w moim budynku mieszkalnym?

Oczywiście, że tak.

A jednak przeciągnęłam się rozkosznie w miękkim łóżku king-size. No bo któż mógłby mieć mi to za złe? Jak miałabym narzekać na swoją sytuację mieszkaniową, skoro mogłam się teraz otulić luksusową pościelą o absurdalnie wysokiej gęstości splotu (nie wspominając już nawet o tym, jak wygodnie się śpi na poduszkach z pianki memory)? Szczerze mówiąc, nie miałam pojęcia, jakim cudem bogaczom udaje się zwlec rano z łóżek, skoro tak przyjemnie jest w nich leżeć.

Nie miałam jednak czasu na rozkoszowanie się przepychem. Musiałam się stamtąd jak najszybciej wynieść i ruszyć do pracy, zanim Benny mnie zwolni.

Pościeliłam starannie łóżko, żeby nikt nie mógł poznać, że w nim spałam. Zamierzałam też wyprać potem pościel, bo nie byłam przecież jakąś psychotyczną Złotowłosą, która zostawiłaby

swoje DNA w łóżku, które bezprawnie zajmowała. Chciałam zatrzeć wszelkie ślady po nieproszonej Abi Mariano, na wypadek gdyby ktoś się tu pojawił.

Wczoraj wieczorem wzięłam prysznic, po czym poświęciłam czas na wyszorowanie każdego centymetra kwadratowego łazienki (a było ich naprawdę sporo). Teraz tylko szybko się przebrałam i związałam włosy w kucyk. Pięć minut później wszystkie moje rzeczy, które ze sobą przyniosłam, były już upchnięte w plecaku. Sięgnęłam do klamki i otworzyłam drzwi sypialni.

– No proszę, proszę, dzień dobry!

Zachłysnęłam się powietrzem, a ręce automatycznie powędrowały mi do serca, kiedy spojrzałam w prawo.

O Boże, o Boże, o Boże.

W ogromnej kuchni luksusowego penthouse'u stali srebrzystowłosy mężczyzna i brunetka z eleganckim bobem. Choć się do mnie uśmiechali, jakoś wcale mnie to nie uspokoiło.

Miałam totalnie przechłapane.

Facet był ubrany w idealnie skrojony na miarę granatowy garnitur (zamożny elegancik z poszetką), a kobieta miała na sobie jeden z tych „skromnych” kompletów dla bogaczek: koszulkę oksfordzką i białe džinsy za jakieś tysiąc dolarów. Wyglądali jak dostojni emerytowani arystokraci, perfekcyjni w każdym calu i doskonale pasujący do luksusowego apartamentu, w którym nielegalnie mieszkowałam.

Tyle że, o dziwo, wcale nie wyglądali na zaskoczonych moją obecnością.

– Przepraszam, nie chcieliśmy cię przestraszyć – odezwał się mężczyzna, po czym podszedł do mnie bliżej i wyciągnął rękę z ciepłym uśmiechem na twarzy. – Jestem Charles, a to Elaine.

– Abi – mruknęłam zszokowana, gdy „król Karol” uściśnął pewnie moją dłoń swoją wielką dłonią, jakby ta sytuacja była zupełnie normalna, a oni wręcz się mnie tam spodziewali.

„Świetnie, jeszcze podaj im swoje prawdziwe nazwisko, idiotko!” – zbeształam się w myślach.

– Abi! – Kobieta, najwyraźniej o imieniu Elaine, rzuciła mi spojrzenie, jakby nie mogła się doczekać spotkania ze mną. – Jak miło cię w końcu poznać.

– Tak, yyy, wzajemnie – wybąkałam, kompletnie nie rozumiejąc, co ma na myśli, mówiąc „w końcu”.

Czy znalazłam się w jakimś programie z ukrytą kamerą?

A jeśli gliny są już w drodze, a ten duet tylko mnie tu zagaduje, żebym nie związała?

– Ja, yyy...

– A tak w ogóle to poczęstowaliśmy się twoimi babeczkami – oznajmił Charles, wskazując na kratkę do studzenia wypieków na wyspie kuchennej. Z sześciu babeczek z wielkimi borówkami, które poprzedniego wieczoru upiekłam własnoręcznie w tej zachwycającej, wspaniale wyposażonej kuchni, zostały tylko cztery.

ZJEDLI MOJE BABECZKI.

Choć miałam w tej chwili znacznie większe problemy, jakaś częśćka mnie aż zawrzała ze złości. Zamierzałam raczyć się moimi ulubionymi przysmakami na śniadanie przez cały następny tydzień – każdego dnia wsunąć po jednej perfekcyjnej babeczce z rana, zanim zmierzę się z moim znacznie odbiegającym od ideału życiem.

A teraz dwie znajdowały się w przewodzie pokarmowym tych rozpromienionych salonowców.

Spoczywajcie w pokoju, niebiańskie babeczki... I niech zaraz spadnie na dom Charlesa i Elaine.

– Były przepyszne – zachwyciła się Elaine, po czym dodała: – Declan nigdy nam nie wspomniał, że jesteś mistrzynią wypieków.

– No cóż... – wydukałam, a serce waliło mi jak młotem, gdy zastanawiałam się, jak mam dalej grać w tę dziwną grę. – Znacie Declana.

Roześmiali się, jakby to miało absolutny sens. Co tu się dzieje, do jasnej anielki? Musiałam się stamtąd jak najszybciej wydostać. Wyciągnęłam kluczyki od samochodu z plecaka i przykleiłam do twarzy szeroki uśmiech.

– Słuchajcie, bardzo miło było was poznać i chętnie bym z wami dłużej pogadała, ale muszę lecieć do pracy.

– Cała Abi – stwierdził Charles tonem „Jakaż ona urocza, nieprawdaz?”, obdarzając mnie najpiękniejszym uśmiechem. – Będziesz dziś wieczorem na przyjęciu Hathaway?

„Cała Abi”?

– Yyy, j-jeszcze nie wiem – wyjąkałam, przesuwając się bokiem w stronę drzwi wejściowych i myśląc tylko o tym, jak desperacko pragnę uciec. Im szybciej się stamtąd wyniosę, tym mniejsze szanse, że zostanę aresztowana za bezprawne wtargnięcie. – Może?

– Nie uznamy „może” za odpowiedź, Abi – oznajmiła Elaine, przesuwając zadbaną dłońią (jasna cholera, jaki wielki diament!) po idealnie ułożonych włosach. – Nie puścimy cię do pracy, dopóki się nie zgodzisz. Bardzo chcemy cię lepiej poznać.

– Hm, no tak. – Poczułam ulgę, gdy dotarłam do drzwi i chwyciłam chłodną metalową klamkę. Jeszcze chwila, a stąd zwieję. – W takim razie na pewno się tam zjawię.

W tamtym momencie byłam gotowa powiedzieć im wszystko, żeby tylko dali mi spokój.

– Och, to wspaniale! – oznajmiła Elaine z entuzjazmem.

– Fantastycznie – zgodził się Charles.

– Muszę już iść – wydusiłam z siebie, otworzyłam drzwi i posłałam im czarujący uśmiech. A przynajmniej miałam nadzieję, że tak właśnie wyglądał. – Miło było państwa poznać.

W sekundę po tym, jak znalazłam się na korytarzu i drzwi zamknęły się za mną z trzaskiem, rzuciłam się biegiem przed siebie. Zwykle nie przepadałam za wysiłkiem fizycznym, ale tym razem nie zamierzałam czekać na windę – zbiegłam na dół po schodach, błyskawicznie pokonując dwadzieścia pięter, żeby tylko znaleźć się jak najdalej od tej absurdalnej sytuacji.

Nie miałam pojęcia, za kogo wzięli mnie ci obcy ludzie, ale zdecydowanie nie zamierzałam próbować się tego dowiedzieć.

Rozdział 2

WYMYŚLONA PRZYJACIÓŁKA OKAZUJE SIĘ ISTNIEĆ NAPRAWDĘ

Declan

– Dzień dobry, kochanie.

– Mamo. – Pochyliłem się i pocałowałem ją w policzek, po czym usiadłem między nią a tatą przy okrągłym stole bankietowym.

Rodzice przylecieli wczoraj późnym wieczorem, więc nie miałem jeszcze okazji z nimi porozmawiać przed moim krótkim powitalnym przemówieniem dla VIP-ów firmy Hathaway.

– Jak lot?

– Opóźniony – odpowiedział mój ojciec, unosząc do ust kawałek bekonu. – Ale poza tym bez przygód. Świetna przemowa, swoją drogą.

– Dzięki.

Miał rację – naprawdę pozamiatałem. Nie zamierzałem jednak popadać w samozachwyty, bo miałem jeszcze przed sobą cały weekend spotkań z udziałowcami.

Doroczne spotkanie udziałowców Hathaway, na które zjechało do Omaha tysiące ludzi, aby przez tydzień czuć się jak

inwestujące w akcje gwiazdy rocka, zawsze zaczynało się od piątkowego śniadania tylko dla VIP-ów. Nazajutrz rano miało się odbyć kolejne, dla wszystkich pozostałych gości.

W tym roku to ja miałem wygłosić przemówienia powitalne na obu.

– Nie zanudził mnie nawet przy jedzeniu jajek – stwierdził z aprobatą Warren z drugiej strony stołu i podniósł swoją filiżankę z kawą. – Młody daje radę.

„Młody daje radę” – oto jak mnie podsumował Warren Hathaway, najbogatszy człowiek w Ameryce i wieloletni prezes Hathaway Holdings. Facet miał głowę do biznesu i od zawsze był moim idolem, więc skłamałbym, gdybym powiedział, że nie zależało mi na jego pochwałach.

Zaraz po tym, jak ukończyłem studia, Hathaway zaoferował mojej rodzinie – która przekształciła małą firmę mojej prababci produkującą sofy w największy sklep meblowy w kraju o nazwie CrashPad – wielomilionowy wykup. To było dla nas prawdziwe spełnienie marzeń: moi rodzice mogli przejść na wcześniejszą emeryturę i podróżować po świecie, a ja dostałem szansę wspinania się po szczeblach kariery w dużo większej korporacji.

Niespodziewanie moje MBA, które wujowie uznawali za stratę czasu („Po co ci takie studia, skoro pracujesz w rodzinnej firmie?”), poprowadziło mnie ku karierze, o jakiej zawsze marzyłem.

Problem w tym, że po dwóch latach pełnienia funkcji wice-prezesa wykonawczego w Hathaway miałem wrażenie, że moja kariera stanęła w miejscu. Bez względu na to, jak ciężko pracowałem, tam na górze wciąż postrzegano mnie jako „młodego”, mimo że skończyłem już trzydzieści lat.

Dopiero w zeszłym miesiącu zwróciłem na siebie uwagę Warrena, gdy na kwartalnym przeglądzie biznesowym wytknąłem

dyrektorowi finansowemu Marty'emu Muellerowi niemalże katastrofalny błąd. W końcu zaczęto traktować mnie poważnie. Zarówno sam staruszek, jak i jego najbliższe otoczenie zdawali się zapominać o moim młodym wieku i ograniczonym doświadczeniu w szeregach korporacji, a za to naprawdę ufać mojej wiedzy.

To była cholernie duża sprawa.

– Dziś rano poznaliśmy wreszcie jego dziewczynę – oznajmiła nagle mama Warrenowi.

Zaraz, zaraz. Co takiego?

– Poznaliście jego Abby? – Warren odstawił filiżankę na stół i posłał mojej mamie porozumiewawczy uśmiech. – A już zacząłem się zastanawiać, czy ona w ogóle istnieje, skoro nikt z nas jej nigdy nie widział.

– No właśnie! – zaśmiała się.

Co tu jest grane, do diabła?

Przecież ona naprawdę nie istniała.

Abby to imię, które nadałem swojej nieistniejącej dziewczynie.

Jakim cudem więc moja matka ją poznała?

Na swoje usprawiedliwienie wspomnę tylko, że nigdy nie zamierzałem wymyślać sobie dziewczyny. W końcu nie byłem jakimś nieśmiałym nastolatkiem, który za bardzo boi się kobiet, żeby naprawdę się z nimi umawiać, na litość boską. Przeciwnie, byłem ich wielkim fanem. Po prostu nie miałem czasu na te wszystkie bzdury, które wiązały się z relacjami. Skupiałem się na pracy – o ustatkowaniu się miałem zamiar pomyśleć jakoś po czterdziestce.

Tylko że wszyscy na stanowiskach kierowniczych mieli swoje drugie połówki, więc cóż... Desperackie czasy wymagają desperackich środków. Chciałem, żeby tam na górze mieli mnie za stabilnego, twardo stąpającego po ziemi i gotowego do kierowania firmą faceta, dlatego gdy moje życie osobiste stało się

tematem rozmowy na kwartalnym wyjeździe, mimochodem wspomniałem o swojej bezpretensjonalnej, rodzinnej dziewczynie o gołębim sercu.

Abby.

Jak wymyśliłem to imię? Szczerze mówiąc, zbytnio się nie wysiliłem. Kelnerka miała na plakietce „Abby”, a ja postanowiłem to wykorzystać i nazwać tak swoją wymyśloną dziewczynę.

Z początku nie zamierzałem dalej brnąć w to niewinne kłamstwo, tylko że nie bardzo mogłem się już z niego wycofać... Wszyscy niezmiernie się ucieszyli, że mam w swoim życiu Abby: nie tylko moi współpracownicy, ale także rodzice i babcia.

Problem w tym, że ja jej wcale nie miałem.

Ta kobieta nawet nie istniała.

O kim więc mówiła moja matka?

– Przyjdzie dziś wieczorem na przyjęcie – zwrócił się tata do Warrena, który w ciągu ostatnich kilku lat stał się jego dobrym kolegą. – Wreszcie będziesz mógł ją poznać.

– Ona... – Ścisnąłem nasadę nosa, podczas gdy mój mózg gorączkowo próbował ogarnąć, co się tu, do cholery, dzieje. – Abby, yyy, powiedziała wam, że przyjdzie?

– Tak – potwierdziła mama, odwracając się w moją stronę na krześle. – Ale wyglądała na zaskoczoną, kiedy zobaczyła nas rano w kuchni, Dex. Zapomniałeś jej powiedzieć, że się u ciebie zatrzymamy?

– Och – wykrztusiłem z siebie, starając się nie wyglądać na wstrząśniętego faktem, że ktoś obcy był w moim mieszkaniu. – Nie wiedziałem, że tam będzie. Myślałem, że...

– Tak się cieszę, że ją tam zastaliśmy – przerwała mi mama, jakby w ogóle mnie nie słuchała. – Ten uroczy rudzielec upiekł całą blachę przepysznych babeczek.

Czyli to się wydarzyło naprawdę. Ktoś o imieniu Abby spał w moim mieszkaniu, a w dodatku jeszcze upiekł tam cholerne babeczki.

– Och, wypieki Abby są wyborne, to trzeba jej przyznać – mruknąłem, podczas gdy w głowie miałem kompletny chaos. Co jest grane, do diabła? Mieszkam w strzeżonym budynku z portierem. Mam zamki w drzwiach i system alarmowy.

Jak się tam dostała?

I kim, do cholery, była ta Abby?

– Nie jadłem dobrych babeczek od śmierci Ethel – mruknął ponuro Warren. – Niech ta twoja Abby przyniesie mi dziś jedną, dobrze, Dex?

– Oczywiście, poproszę ją – odpowiedziałem, słysząc głośny szum w uszach, i posłałem mu najbardziej swobodny uśmiech, na jaki mnie było stać. – Mogę was przeprosić na chwilę? Muszę gdzieś zadzwonić.

– Czyżby do Abby? – zapytała mama śpiewnym głosem.

– Tak, zdecydowanie spróbuję ją namierzyć – potwierdziłem, po czym odwróciłem się od czujnych spojrzeń i ruszyłem do wyjścia. – Przepraszam.